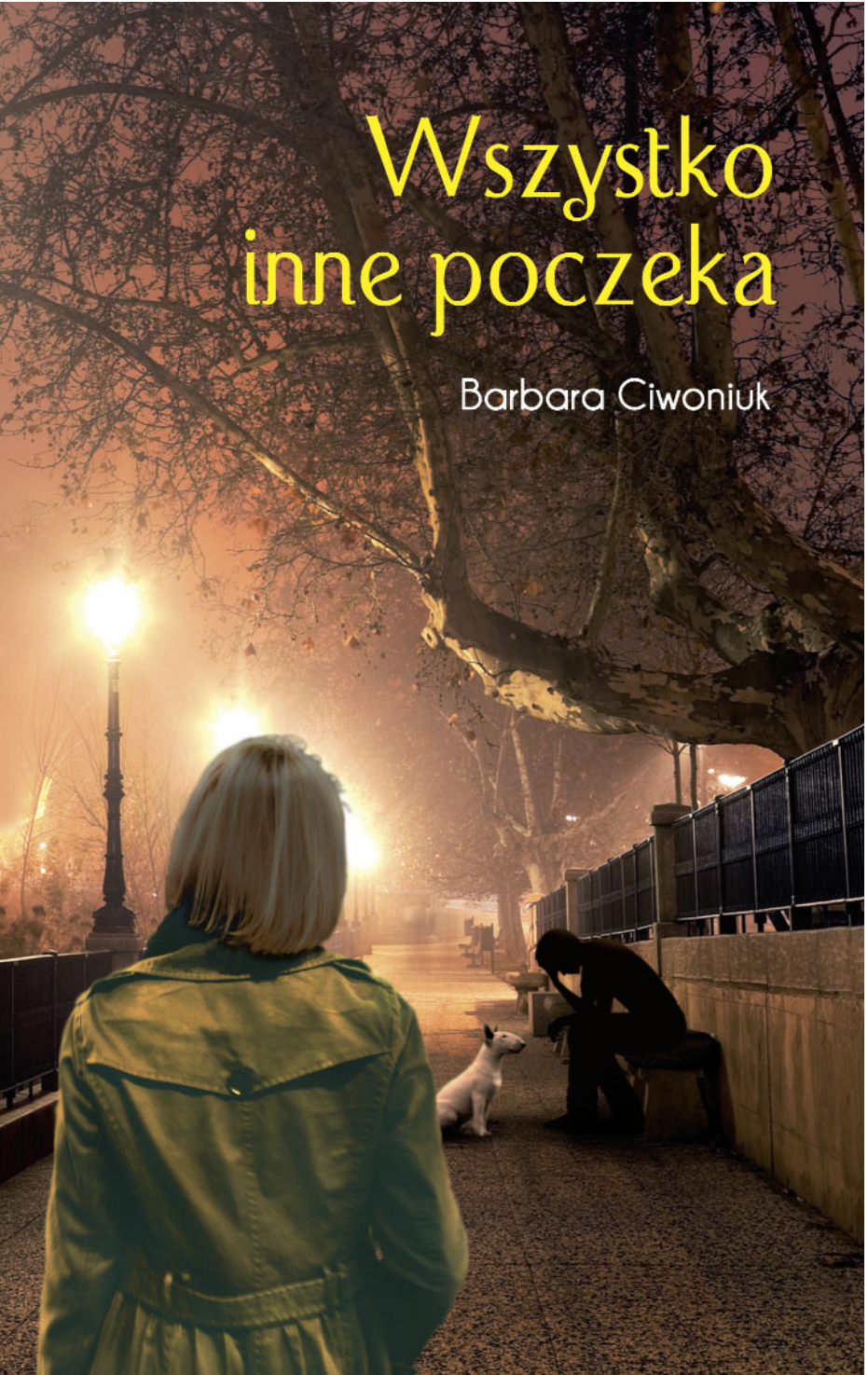


Wszystko inne poczeka

Barbara Ciwoniuk



Wszystko
inne poczeka

Wszystko inne poczeka

Barbara Ciwoniuk

bis

Warszawa 2013

Projekt okładki: Iza Szewczyk
Zdjęcia [http//pl.depositphotos.com](http://pl.depositphotos.com) (Nejron, Carlostcastilla,
Tawng)

Copyright © Barbara Ciwoniuk
Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

prawolubni^{*} Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy.
Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują.
Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub
osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej
fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to
dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

ISBN 978-83-7551-363-9

Wydanie I w tej edycji

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33; fax (22) 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Od dwóch dni szalałam po mieszkaniu jak tajfun. Z obu szaf wymiotłam wszystkie stare sentymenty – stopy ubrań trzymanyh „na wszelki wypadek”, „bo drogie”, „bo tylko ciut za ciasne”, „bo kiedyś ulubione”, „bo przypominały szczególnie miłe zdarzenie z przeszłości”. Z pawlaczy powywlekałam sterty gazet, równo poukładanych firan i zasłon, które już nigdy nie miały ujrzeć słonecznego dnia, materiały, z których kiedyś coś miałam uszyć, a które wydobyte dziś na światło dzienne wyglądały smutno i żałośnie, z trudnymi do rozprasowania zagięciami po złożeniach. Z pokoju „małej”, która dobiegała dwudziestu trzech lat, przerosła mnie o głowę i właśnie kończyła studia, wygarnęłam bogatą kolekcję książek dla dzieci, pocztówek ze zwierzętami, pudła cennych kiedyś klocków, pozytywek i maskotek, regularnie przebieranych co kilka lat, ale nadal zawalających każdą wolną przestrzeń szafek i półek. Nie bez oporów dorzuciłam do tego wszystkiego spory zbiór nut, które dla mnie były

niezrozumiałym szyfrem, a pod palcami córki zmieniały się w muzykę, kiedyś stale obecną w naszym mieszkaniu, teraz przebrzmiała i zapomniana.

Z satysfakcją gromadziłam to wszystko w dużym pokoju na środku dywanu, utwierdzana w słuszności moich poczynań przez Ankę, niestety tylko przez telefon. Obiecała pomóc mi w tych materialnych zmaganiach z przeszłością, ale jak to u niej często bywa, ciągle coś jej stało na przeszkodzie: a to Jakub miał zły dzień w pracy i wrócił wściekły, a to jej mały gdzieś przepadł... Wydzwaniała do mnie i uspokajała tym raczej siebie niż mnie. Gdy po piątej usłyszałam w słuchawce jej płacz z powodu wybitej jedynki Czarka, z anielskim spokojem podałam jej numer do pogotowia stomatologicznego i przyjąłam do wiadomości fakt, że ze skupiskiem na dywanie muszę uporać się sama.

Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie perspektywa odwiedzenia piwnicy, której od kilkunastu lat unikałam, jak tylko mogłam. Większość tej zbieraniny kwalifikowała się do wyniesienia na śmietnik, ale część kartonów chciałam zachować, nie umiałam być tak radykalna jak moja przyjaciółka, która namówiła mnie na to całe zamieszanie.

Samba z niepokojem obserwowała moje przygotowania do wyjścia z mieszkania. Chodziła za mną krok w krok i trącała mnie nosem, dając tym znak, że jest gotowa mi towarzyszyć.

– Nie, Samba, zostajesz w domu – powiedziałam jej wreszcie tę straszną prawdę, na co opadła gru-

bym tyłkiem na środek kuchni i popatrzyła mi żałośnie w oczy.

Wybrałam dwa średniej wielkości kartony, uzbroiłam się w latarkę, rzadko używane klucze od piwnicznego boksu i spojrzałam na psa.

– Za chwilę wrócę – próbowałam wytłumaczyć się suce. – Dobra Sambunia, pilnuj domu! – nakażałam i otworzyłam drzwi.

Od razu usłyszałam podniecone, męskie głosy na dole, wśród których dominował znajomy bas Wawrzyniaka. Nie paliłam się do spotkania z nim na klatce, zawsze mnie zagadywał, a ja go po prostu nie lubiłam. Im bardziej schodziłam na dół, tym powietrze stawało się chłodniejsze; ktoś musiał otwierać drzwi wejściowe, bo stuknęły głośno dwa razy. Z donośnej rozmowy mężczyzn wyłowiłam niewróżące nic dobrego słowo „policja”.

– Ale sąsiadka wybrała się w porę do piwnicy! – huknął Wawrzyniak, obserwując, jak ostrożnie zsuwam się przy poręczy. – Akurat złapaliśmy złodzieja! I co, jadą? – Wytknął głowę na zewnątrz, skąd dochodziły pokrzykiwania innych uczestników akcji.

Spojrzałam pytająco na Chomicza, staruszka spod szóstki, a ten podszedł i wziął ode mnie pudło z wierzchu.

– Naprawdę w piwnicy jest złodziej, pani Ado! – objaśniał mi przyciszonym głosem. – Już od kilku dni tam siedzi, myśleliśmy z żoną, że to jakiś bezdomny... żona chciała mu nawet znieść coś ciepłego do zjedzenia, bo ziąb taki... A tu proszę! Włamywał

się do piwnicy Wawrzyniaków! Pan Mietek złapał go na gorącym uczynku!

– Już od tygodnia gonię tego łachmytę, ale ciągle wraca! – wtrącił się sam zainteresowany. – Upatrzył sobie ciepły kąt na starej wersalce Kruków! Lokum sobie znalazł! Piwnica zasmrodzona, a dzisiaj rano nalał mi na wycieracze! Zemścił się, drań jeden, że kilka razy wyrzucałem go na mróz! Ale ja zrobię z nim porządek! Szwagier pracuje w policji, już tu jedzie.

Grubas przyjrzał mi się z zainteresowaniem i wścibskimi oczyma zjechał na moje pudła.

– Tyle razy mówiłem sąsiadce, że gdyby coś... to chętnie służę pomocą... – zganił mnie z tą dwuznacznością w tonie, której nie cierpiałam. – Uparta z pani kobieta! Ale teraz poprosi mnie pani o pomoc, prawda?

– Nie, panie Wawrzyniak. – Stanowczo skinęłam na Chomicza, żeby mi zwrócił karton i zaczęłam schodzić w ciemną czeluść poniżej parteru.

– Co za kobita! Aż żal, że sama tak się marnuje! – usłyszałam za sobą niewybredną uwagę tłuszciocha. – Pilnuj, panie Chomicz, zapalę jej światło i przy okazji zerknę na tego łajzę!

Szybko dotarłam do drzwi piwnicy i oparłszy pudła o ścianę, włączyłam przycisk. Brudna żarówka zaświeciła niewyraźną żółcią, oświetlając środek pomieszczenia. Na szczęście wejście do mojego lamusa było tuż obok, drugie z rzędu. Zapach stęchliny, wilgoci i ostrych środków dezynfekcyjnych ude-

rzył niemiło w nos, dopiero po kilku oddechach przestał przeszkadzać i stał się prawie niezauważalny. Z ulgą postawiłam mój balast na podłodze i nie rozglądając się po mrocznych kątach, zaczęłam mocować się z kłódką. Za plecami usłyszałam kroki i głośne posapywanie Wawrzyniaka.

– I co, znowu poradziła sobie pani beze mnie?

– Staął nachalnie blisko i obserwował moje manewry przy kłódce.

– Panie Wawrzyniak, niech pan się zajmie swoimi sprawami. – Odsunęłam się od niego ze wstrętem, bo brzuszyskiem dotykał prawie mojej ręki. – Złodziej panu ucieknie!

– Eee tam! – Odstąpił pół kroku i jasnym strumieniem światła zaświecił w prawą stronę. – Już on tak łatwo się nie pozbiera...

Zastanowił mnie lekceważący ton jego głosu. Spojrzałam za błyskiem latarki. Człowiek skulony pod ścianą poruszył się i podniósł głowę. Patrzył wprost w snop oślepiającego go światła. W oczach miał coś, co mnie zaskoczyło. Gdy po kilku sekundach uniósł rękę, by osłonić twarz, na jego palcach zobaczyłam świeżą, jaskrawoczerwoną krew ciekącą w głąb mankietu.

– Panie Wawrzyniak, on jest ranny! Może trzeba wezwać pogotowie?

Grubas roześmiał się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– Poszamotaliśmy się trochę, to ma za swoje! Niech nie wyciąga łap po cudze, nie?

Z niechęcią popatrzyłam na jego tłustą, nalaną twarz i bez słowa wróciłam do swojej kłódki. Z trudem się z nią uporałam, zdenerwowana natrętną asystą. Wawrzyniak nie zagadywał już, widząc moją nieprzychylność, w milczeniu pomógł mi wnieść pudła do środka. Gdy zamykałam piwnicę, oboje usłyszeliśmy wołanie Chomicza.

– Poradzi sobie pani z tą kłódką – bardziej stwierdził, niż spytał, już bez cienia nadszkakiwania, i ruszył na górę.

Jego ciężkie kroki zaszurały po schodach. Krzyknął coś niezrozumiale i wyszedł na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi. W ciszy, która niespodziewanie zapadła, usłyszałam, że mężczyzna pod ścianą poruszył się i jęknął. Zamknęłam kłódkę i zastygłam w bezruchu oszołomiona świadomością, że być może patrzy teraz na mnie tymi swoimi błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczyma, które przez moment widziałam w świetle latarki Wawrzyniaka. Spojrzałam w jego stronę, ale stąd, gdzie stałam, widać było tylko nogi mężczyzny; reszta ciała zlewała się z mrokiem kąta, w którym siedział. Olśniło mnie nagle, że to nieuchwytnie, co widziałam w jego oczach, a czego nie mogłam określić, to był wyraz jakiejś bolesnej rezygnacji. Ten człowiek nie chciał już o nic walczyć, było mu wszystko jedno, co się z nim stanie! Poturbowany przez aroganta i brutalną, którego szczerze nie lubiłam, którego zuchwałość i grubiaństwo zawsze mnie raziły, poddał się temu pyskaczowi bez walki! Byłam pewna, wyczułam

to w tonie głosu Wawrzyniaka, że włamanie wymyślił i sfingował na swój wyłączny użytek, żeby pozbyć się niesfornego intruza, dać mu nauczkę.

Podeszłam do drzwi i chwilę nadśluchiwałam. Mężczyźni rozmawiali na zewnątrz, na klatce schodowej było cicho. Weszłam kilka stopni wyżej, by się upewnić, że naprawdę nikogo tam nie ma. Było pusto. Wycofałam się do piwnicy i zbliżyłam do nieznanego.

– Niech pan biegnie do mojego mieszkania... drugie piętro, numer dziewięć! Szybko! Nie zamykałam drzwi. Mieszkam sama.

Patrzył na mnie zdumiony propozycją nie mniej niż ja sama. Powtórzyłam mu ją pośpiesznie i z ulgą dostrzegłam błysk zrozumienia w jego oczach.

– Jest pani... pewna? – zapytał.

– Niczego nie jestem pewna, ale biegnij, człowieku, bo zaraz tu będą! – ponagliłam.

Syknął z bólu, gdy szarpnęłam go za rękę, by pomóc mu wstać.

– Przepraszam! – szepnęłam głupio i jeszcze raz wyjrzałam na schody, by się upewnić, czy wszyscy są na zewnątrz.

Skinęłam mu głową i chwilę patrzyłam za nim, aż zniknął za zakrętem. Odczekałam moment, przysłuchując się odgłosom rozmowy z podwórka. Wawrzyniak tłumaczył coś Chomiczowi. Gdy stuknęły drzwi, przerywając potok słów tłuściocha, spokojnym krokiem wyszłam z piwnicy, zgasiałam za sobą światło i spojrzałam na podglądającego mnie

z góry Chomicza. Pokonałam kilkanaście dzielących nas stopni i stanęłam obok niego.

– Panie Stanisławie, przezięb się pan, stercząc tu tak bez kurtki – powiedziałam. – A do tego człowieka powinniście wezwać pogotowie. Jest cały zakrwawiony...

– Już jest policja, zaraz go zabiorą – odezwał się przyciszonym głosem, obejrzał na drzwi wejściowe i popatrzył na mnie porozumiewawczo. – Szczerze mówiąc, pani Ado, nie chcę go oglądać, żeby potem nie zeznawać w sądzie. Wawrzyniak namawia mnie, żebym był jego świadkiem... ale co ja właściwie widziałem? Nic! Narobił wrzasku, że mu piwnicę okradają, to zszedłem, jak inni, ale po sądach ciągać się nie dam!

Ze zrozumieniem kiwnęłam mu głową i poszłam na górę. Za zakrętem schodów przyspieszyłam, poczułam się jak przestępca uciekający z miejsca zbrodni. Na poręczy zobaczyłam rozmazany, świeży ślad krwi. Z przerażeniem wytarłam go rękawem swetra i spojrzałam niżej. Cofnęłam się kilka stopni i w panice usunęłam podobną plamę. Na dole słyszałam już pokrzykiwania mężczyzn i stukanie drzwi. Biegając do siebie, lustrowałam zielony plastik poręczy i ściany naprzeciwko. Z ulgą dotarłam do klamki i wpadłam do swojego mieszkania.

Przy drzwiach łazienki usłyszałam odgłosy szamotania i warczenie psa. Samba! Zupełnie o niej

zapomniałam! Wysłałam tu człowieka, nie wspomniawszy mu o psie! Zapaliłam światło w korytarzu i ujrzałam moją sukę. Warcząc, poruszyła łbem, wyraźnie uczepiona czegoś zębami, jej tłusty zadek zakolysał się w rytm tarmoszenia. Podbiegłam do niej, opadłam na kolana i siłą próbowałam rozewrzeć jej zęby, by uwolnić uwięzione w szparze drzwi ramię mężczyzny.

– Samba! Spokój! Nie rusz pana! Puść! – wyrzuciłam z siebie wszystkie możliwe komendy mające uspokoić zwierzę.

Podniecona szarpnęła łbem jeszcze energiczniej i, nie wypuszczając z pyska rękawa, spróbowała spojrzeć na mnie, jakby, nie dając wiary w usłyszanego polecenia, chciała pochwalić się swoją zdobyczą.

– Samba, puść! – krzyknęłam i między jej przednie zęby wcisnęłam palce lewej ręki.

Z trudem oderwałam ją od nieznanego i mocno przygarnęłam do siebie. Drzwi łazienki otworzyły się szeroko, wpuszczając do niej trochę światła. W kącie między pralką a wanną zobaczyłam mężczyznę. Siedział na podłodze i gapił się na mnie, podobnie jak ja na niego.

– Przepraszam pana. Zupełnie o niej zapomniałam! Czy ona pana ugryzła?

Zdziwiły mnie odgłosy, jakie wydawał. Przeraziłam się, że to szloch, ale po jakimś czasie zrozumiałam, że facet się śmieje. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem, pies zapiszczał w moich ramionach, bo zbyt mocno chwyciłam go za pysk.

– Taka szalona akcja nie mogła skończyć się inaczej! – rechotał mężczyzna. – Wpadłem tu jak z deszczu pod rynnę!

Puściłam Sambę. Nieufnie zaczęła obwąchiwać swoją niedoszłą ofiarę, z trudem akceptując fakt, że prawdopodobnie jest naszym gościem. Oczywiście nieznajomego przesunęły się ze mnie na psa i jego gęba znowu roześmiała się od ucha do ucha.

– To jakiś daleki przodek psa? Skąd pani wytrzymała takiego dinozaura?

Samba zrozumiała, że mówi o niej, na słowo „pies” reagowała prawie tak samo jak na swoje imię. Na wszelki wypadek zawarczała i spojrzała na mnie, oczekując ewentualnych instrukcji.

– Niech pan jej nie obraża, bo ona wszystko rozumie – ostrzegłam. – Jest szczególnie wrażliwa na uwagi dotyczące jej wyglądu. Spokój, Samba! – nakazałam i wypchnęłam sukę z łazienki.

Podniosłam się z kolan i popatrzyłam na mężczyznę z góry. Powoli opanowywał wesołość i poważniał.

– Chyba jednak pana nie pogryzła – zauważyłam.

Wzniósł na mnie oczy i przez chwilę przyglądaliśmy sobie ciekawie, choć stojąc w drzwiach, zasłaniałam wpadające tu z korytarza światło. Był dużo młodszy, niż wydawał mi się tam na dole, a może to nagła zmiana sytuacji ożywiła go, tchnęła w niego życie? Wyglądał na trzydzieści parę lat, miał żywą, inteligentną twarz, ale był zarośnięty, brudny i zakrwawiony. Faktem było to, że ten piwniczny oberwaniec siedział w mojej łazience z objawami rozba-

wienia, jakiego się po nim zupełnie nie spodziewałam. Może nawet nie był wcale aż takim oberwańcem. Wyglądał, jakby trudna sytuacja, w której się znalazł, doskwierała mu od niedawna. Ubranie było zupełnie w porządku, pomijając ślady wapna ze ścian piwnicy, krwi i zębów Samby na rękawie. Zabrudzenia na twarzy i rękach mogły pochodzić od bijatyki, którą stoczył z Wawrzyniakiem. Nie był lumpem, jakiego spodziewałam się ujrzyć po wejściu do mieszkania.

Pies, skarcony za obwąchiwanie gościa, przyglądał mu się niepewnie, nie wiedząc, jak ma go traktować. Dreptał niespokojnie na sztywnych łapach i powarkiwał groźnie, strosząc sierść na grzbiecie.

Nagle warczenie przybrało na sile, Samba wycofała się pod drzwi wejściowe i zaczęła głośno ujadąć. Teraz i ja usłyszałam na klatce donośny bas Wawrzyniaka.

Dźwięk dzwonka wygasił resztki uśmiechu w oczach mężczyzny. Z grymasem bólu na twarzy podniósł się i stanął przy pralce. Był nadspodziewanie wysoki, przewyższał mnie prawie o głowę.

– To Wawrzyniak – uspokoiliam go i wyłączyłam światło w tej części korytarza, zatapiając go w bezpiecznej ciemności. – Proszę zostać, nic tu panu nie grozi. Pewnie przyszli wypytać mnie o zbiega...

Skinął głową, bardziej wyczułam to, niż zobaczyłam w mroku. Szybko zapaliłam światło w kuchni, ten gest zwrócił moją uwagę na zakrwawiony rękaw swetra. Zdjęłam go i wrzuciłam do szafy.

– Spokój, Samba! – zawołałam oficjalnym tonem, choć jej szczekanie było mi tym razem na rękę.

Zamknęłam ją w dużym pokoju. Jazgotała tam bez opamiętania, bo zawsze tak reagowała na obecność Wawrzyniaka, którego nie lubiła bardziej niż ja; był wrogiem numer jeden na jej terytorium.

Odetchnęłam głęboko, uspokoiłam twarz i otworzyłam drzwi wejściowe. Zdziwiłam się na widok policjanta, który towarzyszył grubasowi. Był to wielki, zwalisty mężczyzna o wyłupiastych oczach, na jego brodzie i policzkach widniały plamy świadczące o chorobie skórnej lub alergii.

– Dobry wieczór pani. Sierżant Jan Gębała. – Wykonał gest naśladujący salutowanie, ale nie doniósł ręki do daszka czapki zsuniętej na tył głowy. – Chciałbym zadać pani kilka pytań. Czy można?

Niedbale machnął mi przed oczyma jakąś legitymacją czy blaszką i schował ją do kieszeni. Z nieudawanym zdziwieniem spojrzałam na Wawrzyniaka i wzruszyłam ramionami.

– Proszę. – Odstąpiłam od drzwi i otworzyłam je szerzej. – Wybacz pan, że nie zaproszę dalej, ale mam bardzo niespokojnego psa...

– Nie szkodzi, my tylko na chwilę. – Obaj wtoczyli się do ciasnego przedpokoju i zamknęli za sobą drzwi.

– Słucham? – zapytałam głośno, przekrzykując ujadającą Sambę.

– Pani sąsiad twierdzi, że była pani świadkiem włamania do jego piwnicy. Ujął sprawcę, a pani była ostatnią osobą, która go widziała.

– Tak? – Spojrzałam na bacznie obserwującego mnie Wawrzyniaka. – Nie oglądałam piwnicy mojego sąsiada i nie widziałam żadnych śladów włamania... Znosiłam do swojej pudła, a pan Mieczysław był uprzejmy mi pomóc, ale nie pokazał mi piwnicy, do której się włamano...

– Ale widziała pani sprawcę włamania?

– Sprawcę włamania? – zapytałam i zniecierpliwiona popatrzyłam na drzwi, za którymi miotła się suka. – Nie wiem, czy to był człowiek, który włamał się do piwnicy pana Wawrzyniaka...

– Przecież pokazałem go pani! – wybuchnął grubas z trudem zachowujący dotąd spokój.

– Owszem – spokojnie spojrzałam mu w oczy – pokazał mi pan jakiegoś zakrwawionego człowieka pod ścianą... potem pan Chomicz zawołał, że już jest policja, pan pobiegł do niego, a ja zamknęłam swoją piwnicę i szybko z niej wyszłam. Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, do czego panowie zmierzają... – Przeniosłam wzrok na policjanta. – Jeżeli ten zatrzymany człowiek twierdzi coś innego niż mój sąsiad... ja w niczym nie mogę tu pomóc! To sprawa między nim i panem Wawrzyniakiem. Nie byłam świadkiem włamania. W piwnicy znalazłam się przypadkowo... zesłam tam już po tym zdarzeniu. Panowie wybaczą...

Otworzyłam drzwi do pokoju, w którym szalał mój pies.

– Samba, spokój! – wrzasnęłam. – Brzydki pies! Spokój!

Suka, podniecona widokiem obu mężczyzn, rozszekała się jeszcze bardziej. Zamknęłam drzwi i bezradnie spojrzałam na przybyłych.

– Przykro mi, zwykle łatwo daje się uspokoić, ale zawsze tak reaguje na pana Wawrzyniaka. Nie sposób tu rozmawiać.

– Może jednak wyjdziemy na klatkę schodową?
– zaproponował policjant i otworzył drzwi.

Skinęłam głową i wyszłam za nimi.

– No, trochę tu ciszej – odetchnął i przyjrzał mi się dokładnie. – Nie rozumiała pani, o co pytałem. Popszkodowany – wskazał na Wawrzyniaka – i... pan...

– Chomicz! – podrzucił mu grubas z miną ofiary.

– Tak... i pan Chomicz twierdzą, że była pani ostatnią osobą, która widziała sprawcę. Czy w piwnicy działo się coś podejrzanego, gdy została tam pani sama?

– Nie... nic! – wzruszyłam ramionami.

– Ten człowiek... nie odzywał się do pani? Nie poruszył się... nie poszedł gdzieś?

– Nie. – Patrzyłam na wypytyującego jak na idiotę.
– Leżał w tym swoim kącie cicho... Wyszłam stamtąd jak najszybciej, kilka sekund po panu Mieczysławie.

– No... nie sekund! – żywo zaprzeczył Wawrzyniak. – To musiało trwać parę minut! Rozmawiałem chwilę z Chomiczem na zewnątrz, a on widział potem, jak pani wychodziła z piwnicy!

– Nie wiem... – obruszyłam się – może to potrwało minutę czy dwie. Mocowałam się trochę z kłódką... Było mi nieprzyjemnie, gdy zostałam sama

z tym człowiekiem... chciałam stamtąd jak najszybciej wyjść. I wyszłam! Wydaje mi się, że to trwało chwilę. Ale jakie to ma znaczenie? Nic się tam nie wydarzyło... zamknęłam i wróciłam do siebie.

Usłyszeliśmy trzask odryglowywanych drzwi i na korytarz wysunęła się głowa sąsiadki spod siódemki. Popatrzyła na nas, wyraźnie zaaferowana obecnością policjanta, i zapytała, czy coś się stało. Wawrzyniak kiwnął jej niecierpliwie głową i wrócił wzrokiem do mnie. Był wyraźnie zawiedziony moimi wyjaśnieniami, musiał spodziewać się jakichś rewelacji.

– Ten człowiek uciekł – powiedział. – Nie wiemy, jak to mogło się stać, ale... uciekł!

Gapiałam się na niego zdumiona.

– To niemożliwe! Przecież on się nie ruszał! Był cały zakrwawiony, wyglądał, jakby nie żył... – Świadomie eksponowałam motyw pobicia go przez grubasa. – Broczył krwią!

– Kto? – zapytała Krotoszevska, zaszokowana moimi słowami.

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, czy przypadkiem nie widziała uciekiniera skradającego się do mojego mieszkania. Wiedziałam, że często trzymała wartę przy swoim judaszu, podglądanie bliźnich, a szczególnie mnie, było ulubioną rozrywką tej kobiety. W jej wzroku dostrzegłam coś niepokojącego, ale zawsze przyglądała mi się podejrzliwie. Już przez sam fakt bycia osobą samotną stałam się dla niej najciekawszym obiektem do obserwacji, a tu jeszcze policja przed moimi drzwiami.

– Złodziej – wyjaśniłam jej i ze współczuciem popatrzyłam na Wawrzyniaka. – Przykro mi, panie Mieczysławie...

Wielki policjant poruszył się niecierpliwie, dając mi nadzieję, że to już koniec przesłuchania.

– No cóż... wygląda na to, że ten umierający facet rozplątał się w powietrzu. Nigdzie żadnych śladów! Sprawdzamy jeszcze dach. Pójdziemy już...
– Kiwnął mi głową i zbliżył się do schodów. – Do widzenia pani!

– Do widzenia... przykro mi, że nie mogłam pomóc. – Szybko wycofałam się do mieszkania, udając, że nie widzę wbitych we mnie oczu Krotoszewskiej. Będąc już za drzwiami, usłyszałam, że zagadnęła Wawrzyniaka.

Wypuściłam z pokoju Sambę. Uradowana kręciła się pod nogami, obiegając mnie dookoła i wywijając ogonem, szczęśliwa z mojego powrotu. Otworzyłam drzwi łazienki i zapaliłam w niej światło. Mężczyzna zmrugał oczy i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Nieźle im pani bajerowała...

Nie zdołałam utrzymać powagi i odpowiedziałam mu uśmiechem. Wyglądało na to, że przygarnęłam pod swój dach kpiarza i chojraka.

– Nie spodziewałam się, że z pana będzie taki kozak – zauważyłam z ironią i spojrzałam na psa.
– Gdzie się pchasz, awanturnico!

Facet roześmiał się swobodnie.

– Dzielny zwierzak! Sam chętnie bym obszczał tych dwóch. Zna się na ludziach!

– Tak? A pamięta pan, z jakimi honorami przywitała tu pana?

– To co innego! Wtargnąłem tutaj pod pani nieobecność... – Nie tracił rezonu i ukucnął, żeby pogłaskać sukę.

– Nie radzę tego robić. Bulteriery są bardzo nieufne!

– Tak? – zapytał z niedowierzaniem i dwukrotnie, powoli przejechał ręką po grzbiecie Samby.

Zdezorientowana suka spojrzała na niego zdziwiona. Zamiast warczeć i obwąchiwać go, jak zwykła czynić z obcymi, usiadła i przyglądała mu się ze spokojem, który mnie zaskoczył. Obserwowałam ich z góry.

– Wygląda na to, że zawarliście już komitywę... przy tym rękawie.

– Fakt. To był dość bliski kontakt – przyznał i ciężko się podniósł.

Ominął moje oczy i z zainteresowaniem rozejrzał się po łazience.

– Wieki nie widziałem wanny, pralki, luster... i damskiej bielizny na sznurkach.

Spojrzałam na suszarkę i mieszałam się na widok rozwieszonych tam majtek, rajstop i staników.

– Gdzie się pan uchował? Nie musi pan odpowiadać na to pytanie – szybko wycofałam się z własnej ciekawości. – Wydawało mi się, że trzeba panu opa-

trzyć rany – zmieniałam temat, by nie zaczął tłumaczyć mi się z przeszłości.

– Drobiazg. – Z lekceważeniem zerknął na zakrwawione dłonie i poruszył ramionami, jakby sprawdzał, czy z karkiem wszystko w porządku. – Jakiś czas byłem w więzieniu. Szczerze mówiąc... właśnie odgibałem piąta. Jest pani odważną i bezpośrednią kobietą, to nie będę kłamał.

Czułam, jak na mojej twarzy wykwitają rumieńce wstydu i zażenowania, nad którymi nie umiałam zapanować. Patrzył mi śmiało w oczy. Zauważyłam, że jego są bardzo niebieskie, zupełnie bez odcienia szarości.

– Zaprosiłam pana do siebie i nie wycofam się z tego... – wydukałam, uśmiechając się z przymusem. – Nie wygląda pan na seryjnego mordercę... Ma pan chwilowe kłopoty... mieszkaniowe, a jak się okazało, piwnica nie jest dobrym rozwiązaniem.

– Tego nie da się ukryć. – Zerknął do lustra i spróbował otrzepać bok kurtki z wapna. – Nie miałem pojęcia, że tak szybko można zmienić się w łachmytę, pewnie dlatego nie mogę znaleźć pracy. Porządni ludzie omijają mnie z daleka. Sam czuję, że już strasznie cuchnę.

– Nie jest tak źle... – oponowałam słabo. – Pachnie pan piwnicą.

– Pachnę? – uśmiechnął się z odrobiną ironii.

Chyba był mi wdzięczny za to delikatne określenie zionącego od niego smrodu. Milczałam zakło-

potana. Nie bardzo wiedziałam, jak mam go traktować po tym wyznaniu.

– Chciałam zaproponować panu kolację, ale może pan zacząć... od kąpieli.

Skrępowana propozycją, szybko otworzyłam szafę w przedpokoju i wyjęłam z niej duży szlafrok. Położyłam go na pralce.

– Jest czysty, może pan go użyć – powiedziałam.

– Naprawdę? – Dopiero teraz zdawał się spłoszony, stracił swoją swobodę. – Szczerze mówiąc...

– Tak?...

– Miałem cichą nadzieję, że mnie pani przechowa tu kilka godzin i nocą jakoś stąd wyprowadzi... Nie liczyłem... aż na taką gościnność – niepewnie dotknął miękkiej tkaniny.

Jego brudna, pokrwawiona dłoń wyglądała żałośnie na tle leżącego na pralce szlafroka.

– Jeśli nie chce się pan wykąpać, to proszę się tylko umyć. Ten zielony ręcznik jest czysty, dzisiaj go powiesiłam – rzuciłam prędko i wyszłam do kuchni, by jak najprędzej ukryć się przed jego oczyma.

Patrzył na mnie tak przenikliwie, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę, co mnie niepokoiło. Machinalnie zajęłam się przygotowywaniem kolacji. Trochę zbyt nerwowo, bo garnek z wodą na jajka o mało nie wyleciał mi z rąk, a drzwi lodówki trzaskały z wielkim hukiem.

Zajrzał do mnie po dwóch minutach.

– To jednak się wykąpię – powiedział tonem, jakby podjęcie tej decyzji było nie lada wyczynem.

Spojrzał na stół, gdzie kroiłam wędlinę.

– Mogę? – Brudną ręką ściągnął z talerza plasterki i zniknął za drzwiami.

Patrząc za nim, uśmiechnęłam się do siebie. Przyłapał mnie na tym, bo zajrzał jeszcze raz.

– Przepraszam... Mam przy sobie maszynkę do golenia, ale nie mam mojej... to znaczy... żyletki. Może jakimś cudem znajdzie pani jedną?...

Bez słowa wróciłam do łazienki. Z szafki nad lustrem wyjęłam pudełko nowych żyletek Jerzego i podałam mu je. Kiwnął głową z uznaniem.

– Przy okazji zbiorę bieliznę – zerknęłam na suszarkę.

– Niech pani tego nie robi... – poprosił szybko. – Z przyjemnością sobie popatrzę – uśmiechnął się rozbrawiająco.

– To może rozwieszę ładniejszą? – zażartowałam i prędko pozbierałam majtki i biustonosze.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– A tak w ogóle to... Andrzej jestem... na wypadek, gdyby pani zechciała się ze mną trochę spoufalić.

– Aida. – Przystanęłam w drzwiach i schowałam za siebie garść bielizny, bo naprawdę się na nią gapił.

– Aida? – udawał, że chwilę nasłuchuje. – Nic nie słyszę!

– To ma być dowcip? – zapytałam z ironią i wróciłam do kuchni.

Stałam niezdecydowana na środku, trzymane w rękę majtki nijak nie komponowały się z wnętrzem pełnym garnków i słoiczków z przyprawami.

– Naprawdę ma pani na imię Aida? – Zajrzał do mnie znowu.

Spojrzałam na niego. Śmiesznie wyglądał taki już rozluźniony, z maszynką do golenia w ręku, ale jeszcze w kurtce.

– Naprawdę. Tylko nie wejdź w tej kurtce do wanny. Powieś ją w przedpokoju...

Przez moment patrzył na mnie i na stół, na którym stały rzeczy potrzebne do przygotowania kolacji. Myślałam, że coś jeszcze powie, ale uśmiechnął się tylko i bez słowa wyszedł.

Wrzuciłam bieliznę do szuflady i wróciłam do kuchni. Pomyślałam sobie, że gdyby nagle zaczął śpiewać przy goleniu, moich sąsiadów chyba by to nie zdziwiło, bo przyzwyczajeni byli do obecności mężczyzny w moim mieszkaniu, szczególnie w weekendy. Jeszcze miesiąc temu był tu Jerzy. Szybko wyrzuciłam tę myśl z głowy, już dość czasu straciłam na wspomnienia o nim i na zastanawianie się nad własną naiwnością i głupotą. Niewiele zmądrzałam po tym bolesnym i upokarzającym doświadczeniu, skoro w mojej wannie znowu kąpie się facet, w dodatku kryminalista. Słabą pociechą był fakt, że temu chociaż nie myłam pleców! Ale co ja z nim zrobić? Anka zawsze mi mówi, że moją największą wadą jest to, że najpierw działam, a potem myślę, i chyba ma rację. Rozpędziłam się i trochę przesadziłam z obfitością jedzenia, nawet naruszyłam zapasy zgromadzone już na święta. Rozsądnie zrezygnowałam z otworzenia dwóch kolejnych puszek i odłożyłam

je na miejsce. Tego by tylko brakowało, aby pomyślał sobie, że mu nadskakuje! Krytycznie popatrzyłam na stół i schowałam do lodówki jeszcze pieczarki w occie i sałatkę z papryki. Wystarczą mu ogórki i pomidory! Też mi gość!

Myślałam o nim, krojąc sery i krusząc skorupki jaj. Słyszałam, że woda lała się do wanny potężnym strumieniem. Pewnie brud na nim odmakął, potem będę musiała porządnie zdezynfekować wannę. Jak taki młody, inteligentny człowiek mógł wylądować w piwnicy na starej kanapie Kruków? Wyszedł z więzienia, szukał pracy. A rodzina, znajomi? W myślach szybko zrobiłam przegląd siostr, braci, ciotek i wujków, policzyłam przyjaciół. Na których mogłabym liczyć, gdybym znalazła się w jego sytuacji? Ponad połowy mojej rodziny nie lubiłam (z wzajemnością za mój niewyparzony język), prawie z całą łączyły mnie powierzchowne, niewiele znaczące więzi. Bliskie były mi ciocia Grażynka i Wiesia, najbliższa ciocia Ola. Wszystkie często dzwoniły do mnie, namawiały na rodzinne uroczystości i obiadki. Rzadko korzystałam z ich zaproszeń, bo po śmierci mamy nie miał mnie kto bronić przed dydaktycznymi zapędami wujka Bolka, kiedyś wziętego prawnika, teraz już tylko filara naszej rodziny, który za bardzo lubił moralizować, powołując się na popełnione przez nas błędy z przeszłości. Mnie ciągle wytykał zerwane małżeństwo, innym dostawało się za brak sukcesów zawodowych, niedoskonałe dzieci czy wnuki. Sam uważał się za nieomylnego, świecił nam w oczy przykładem

swojego Rafała, który chlubnie poszedł w ślady ojca, zrobił już ze dwa doktoraty i był śmiertelnie nudny, czego wuj oczywiście nie zauważał, podobnie jak faktu, że synek już dawno wyrósł z krótkich portasów. Dopiero niedawno odkryłam, że poza zasięgiem wzroku ojca Rafał jest zupełnie inny. Przyznał mi się, że prowadzenie podwójnego życia bardzo go męczy i od dłuższego czasu nosi się z zamiarem zerwania krótkiej, ojcowskiej smyczy. Już chyba lepszy był wuj Tadeusz, całkowite przeciwieństwo wuja Bolka. „Złoty człowiek, ale pijak” – mawiano o nim, ale ja lubiłam go za swobodę bycia (niekoniecznie po alkoholu) i zawsze wesołe oczy. „Drżycie panowie, nadal jesteś piękna, Aidko!” – szeptał mi do ucha na powitanie. Uśmiechałam się i na przekór całej rodzinie wypijałam z nim o kilka kieliszków za dużo, żeby zgorzenie wszystkich rozkładało się sprawiedliwie na nas oboje. Udawałam, że nie widzę ostrzegawczych spojrzeń ciotki Teresy mówiących: „Uważaj, nie wiesz, że z nim trzeba ostrożnie?”. Biedny wuj nie lubił uroczystości rodzinnych tak jak ja, bo nigdy nie pozwalano mu na nich napić się do woli. Odbijał to sobie potem w pracy, z kolegami. Był wysoki, śniady i, mimo dość głębokich śladów po ospie na lewym policzku, kiedyś musiał być bardzo przystojny. Ciocia Renia jeszcze teraz wodziła za nim zachwyconymi oczyma i mimo nacisków rodziny, nigdy się na niego nie skarżyła. Drań znał jej słabość do siebie i nagminnie to wykorzystywał; ciocia Grażyna mawiała, że być może jej prze-

baczenia były główną przyczyną jego choroby alkoholowej.

Obrałam jaja i dekorowałam je majonezem, gdy zadzwonił telefon. Anka płakała mi w słuchawkę, w tle słyszałam strofowanie Jakuba.

– Lekarz powiedział, że dopóki Czarek jest mały, nie warto z tym nic robić. Może ząb trochę urośnie i zrówna się z innymi...

– To dlaczego ryczysz? To brzmi dość optymistycznie, nie?

– Wiesz, jak on wygląda?

– Wyobrażam sobie, widywałam sporo małych, szczerbatych dzieci. A co mają powiedzieć rodzice, którym rodzą się brzydkie dzieci? Mają na nie nie patrzeć? Twój synek i tak jest śliczny... bez połowy tego głupiego zęba.

– To właściwie nie połowa, ale jedna trzecia. Druga jedynka ma siedem milimetrów, a w tej brakuje prawie trzech.

– Mierzyłaś?

– A co myślałaś? Teraz muszę go obserwować, czy rośnie. – Głośno wytarła nos i odezwała się już przytomniej: – Może Jakub przyjedzie pomóc ci z tym bajzlem? Poznosi wszystko do piwnicy i na śmietnik?

– Nie trzeba, dam sobie radę. Część już wyniosłam. – Pomyślałam o stosie w pokoju i dwóch małych pudełkach w piwnicy.

– Mówiłaś, że dużo tego nazbierałaś! Jutro jest niedziela, wyjeżdżamy do teściów.

– I bardzo dobrze. Jedźcie i nie martwcie się o mnie. Poradzę sobie.

– Już wiem jak – prognozowała ponuro. – Poupychasz to wszystko z powrotem po szafach.

Roześmiałam się z jej przepowiedni, ponieważ taka myśl rzeczywiście przemknęła mi przez głowę.

– Jakub mówi, że chętnie ci pomoże.

– Dzięki, naprawdę nie troszczcie się tak o mnie.

Już dwa razy, pod nieobecność Ani, jej mąż próbował mnie niedwuznacznie pocieszyć. Nie chciałam sprawdzać powiedzenia „Do trzech razy sztuka” i wpuszczać go do mieszkania wieczorem, bo ta pora dnia kojarzyła mu się zbyt jednoznacznie. Anka знаła jego niepoahamowane samcze instynkty, ponieważ miał już na swoim koncie dwie czy trzy udowodnione zdrady. Przysyłając go tu, albo nie doceniała mnie, albo przeceniała jego.

– To zobaczymy się w poniedziałek w pracy – żegnała się grobowym głosem.

– Tak.

Stuknęły drzwi łazienki. Nie odwróciłam się, by spojrzeć na mojego gościa.

– Ktoś jest u ciebie? – zapytała czujnie.

– Nie, jestem sama. To Samba wyskoczyła z wanny. Obraziła się, że nie wzięłam jej do piwnicy i schowała się w łazience. Znasz jej fochy.

– Pozdrów ją od cioci Ani.

– Jasne – roześmiałam się i odłożyłam słuchawkę.

Czułam na sobie jego spojrzenie. Odwróciłam się i też popatrzyłam na niego. Nie włożył ofiarowanego

mu szlafroka, wbił się w swoje ubranie. Czysty i ogolony sprawiał wrażenie sympatycznego i interesującego, miał w twarzy coś przyciągającego wzrok i rozbrajającego, jego oczy błyszczały gotowością do żartów. W dzinsach i w jasnej koszuli wyglądał młodo, dużo młodziej niż w ciemnej kurtce. Nie patrząc na niego, mogłam myśleć o nim źle; mając go przed sobą, trudno było nie odpowiedzieć mu uśmiechem.

– Jednak nie skorzystałem z tego szlafroka – usprawiedliwiał się. – Głupio jakoś... i tak zaraz będę uciekał. Sprawilem ci dość kłopotów...

– Jak chcesz – wzruszyłam ramionami.

Samba powitała go już jak swojego, pewnie pachniał moim mydłem.

– Jeszcze żadnego faceta nie traktowała tak przyjaźnie – powiedziałam, by mu sprawić przyjemność.

– Może żaden nie kąpał się w twojej wannie?

Pominęłam to pytanie milczeniem i uważniej przyjrzałam się jego spodniom, wyraźnie mokrym w okolicy bioder.

– Mogłeś nie użyć szlafroka, ale ręcznika chyba powinieneś – napomknęłam złośliwie.

– To nic. – Klepnął się po siedzeniu. – Uprałem spodenki i włożyłem mokre. Zaraz wyschną na tyłku.

Przyglądałam mu się z niedowierzaniem.

– Oszalałeś? Chcesz taki mokry wyjść na mróz?

– Nic mi nie będzie... – Jednak poczuł się głupio i zmieszany uciekł oczyma w bok.

– Zdejmij je i rzuć na kaloryfer. – Otworzyłam szafę w przedpokoju i wysunęłam szufladę z bielizną Jerzego. – To są nowe ubrania. Większość bielizny pewnie nie była jeszcze używana, ale wszystko jest czyste. Znajdziesz tu gatki, skarpetki, podkoszulki... Możesz sobie z tego wziąć, co tylko chcesz. Muszę to wyrzucić, podobnie jak ich właściciela.

Nie odrywał oczu od wnętrza szafy.

– A nie będę ci się źle kojarzył w jego ciuchach? – zapytał przytomnie.

– Nie. Naprawdę nie. Bierz, co chcesz.

Nakrywając do stołu w pokoju, myślałam o Jerzym. Co by powiedział na moją szczodrość? Przywiązywał dużą wagę do ubrań, kupował drogie, długo je wybierał. Przyjeżdżał, obsypywał mnie kwiatami i prezentami. „Wiesz, kupię sobie trochę ubrań, żeby nie jeździć tu z taką wypchaną torbą. Nie sprawi ci to kłopotu? Masz trzy szafy, daj mi tylko kilka wieszaków”. Potem wpadał w jednym garniturze, przebierał się w coś lekkiego i zostawał na weekend, czasami na dłużej. Wyjeżdżał w tym, co zrzucił pierwszego dnia. Dziwiłam się, dlaczego nie jedzie w lekkiej koszulce, chociaż był upały. „Możesz się przebrać w garnitur, kiedy znowu przyjedziesz” – nalegałam. Tłumaczył coś pokrętnie o częstych delegacjach, że ma już gotowe zestawy ubrań, w których niczego nie chce zmieniać. Było to trochę ekscentryczne, ale dałam mu spokój, przyjmowałam go takim, jakim był, z tymi jego dziwactwami. „Kochana, taki jest los ludzi na stanowisku. Bywa, że nawet po plaży spacerujemy boso, ale w garniturach

i z komórkami, ludzie oglądają się za nami ze współczuciem”. Ja mu nie współczułam, uważałam to za totalną głupotę i konserwatyzm, a może nawet snobizm, bo Jerzy lubił czuć się ważny. Nienaganny, kosztowny ubiór w każdej chwili musiał podkreślać jego przynależność do odpowiedniej grupy ludzi, zwracać na niego uwagę. Nawet moją. Gdy wyjeżdżał, prałam rzeczy, których używał, o skarpetki zawsze dbał sam i mokre zostawiał na sznurku. Tknęło mnie, dlaczego nie może wyjechać w innej bieliźnie. Też wchodziła do „zestawu”? W końcu przestałam się dziwić i zaczęłam brać to za niezdrowy objaw jego pedanterii.

– Mogę? – Andrzej zajrzał do pokoju.

– Proszę. – Odsunęłam fotel. – Sama poczułam się głodna, choć zwykle nie jadam kolacji.

– Skorzystałem z kąpielówek... – tłumaczył się niezręcznie. – Wziąłem też podkoszulek i parę skarpet. Swoje uprałem, bo były w okropnym stanie. Dasz mi na nie jakąś reklamówkę, to je potem gdzieś wysuszę?

Skinęłam głową i usiadłam naprzeciwko.

– Proszę – podałam mu półmisek z wędlinami – mam nadzieję, że jesteś głodny.

– Jestem – kiwnął głową i łakomie zlustrował stół.

Jedliśmy w milczeniu, jego swoboda i rozgadanie sprzed kąpieli zniknęły bez śladu. Naprawdę musiał być głodny, bo bez skrupowania nakładał sobie na talerz ogromne porcje i szybko je zjadał. Kończąc jedną potrawę, pożądliwie rozglądał się za drugą.

Pożałowałam go i przyniosłam z lodówki grzyby i sałatkę z papryki. Z uznaniem pokiwał głową i od razu sięgnął po salaterkę z pieczarkami.

Dziobałam widelcem plasterki szynki bardziej dla towarzystwa niż dla zabicia głodu. Myślałam o ostatniej kolacji z Jerzym wcale niezwiastującej bliskiego końca. Tamtego dnia adorował mnie natarczywiej niż zwykle, bez przerwy głądził o swojej miłości. Kolacja przy świecach, dobre wino...

– Przypomniałem ci go?

Podniosłam na niego oczy. Był poważny, patrzył na mnie ze współczuciem.

– Nie. No... może trochę.

– Naprawdę był takim draniem?

Roześmiałam się, skrępowana jego pytaniem.

– A coś ty taki ciekawy?

– Lubię słuchać opowieści o romansach. Nie uwierzysz, jacy romantyczni bywają faceci w więzieniu. Całe noce wspominają dziewczyny swego życia... wszystkie, prawie od podstawówki...

– Naprawdę?

Skinął głową. Oczy świeciły mu się rozbawieniem, chciał i mnie zarazić wesołością.

– Może ty nie nazwałabyś tego romantycznością, ale ja tak to widziałem. Noc, leżymy na pryczach... kilku chłopów... różnych, niektórzy naprawdę z dużymi, dwucyfrowymi pajdami... i snujemy opowieści. Czasem cały dzień czekało się na tę chwilę. Wszystkie laski w tych opowiadaniach były piękne, dobre i czułe... Wiedzieliśmy, że to nie mogła być

prawda, bo trudno sobie wyobrazić cherlawego, kulawego złodzieja o przepitym, zachrypniętym głosie z piękną, wysoką błyskotką, zbudowaną jak trzeba, a nawet lepiej... Prawdę mówiąc, szczegóły anatomiczne były w tych wspomnieniach najważniejsze. Ale przyjęliśmy zasadę, że we wszystko wierzymy. Niektóre opowieści były takie naiwne i śmieszne, aż zatykaliśmy się kocami, żeby się nie brechać... Przechwalaliśmy się przed sobą tymi babami jak mali chłopcy zabawkami, które mają w domu, ale nie mogą ich wynieść na podwórko, tak że nikt nie sprawdzi, czy mówią prawdę.

– Ty musiałeś dobrze opowiadać. – Uśmiechnęłam się, z przyjemnością obserwując jego ożywioną twarz.

– Byłem w tym niezły... – przyznał się i zamilkł.

Widziałam, że myśłami był teraz przy kumplach z celi, jego oczy były nieobecne, choć patrzył na stół. Zaczął jeść, nie chciał już mówić.

– Chyba nie tęsknisz za nimi? – zapytałam cicho.

– Nie. Śmiesznych chwil było tam niewiele... Większości z tego, co się tam działo, szczególnie wieczorami i nocami, nie chce się wspominać. – Spojrzał mi prosto w oczy.

– Więc każde z nas ma coś, o czym chce zapomnieć. Napijemy się wina?

Obserwował, jak wyjmuję kieliszki i wybieram butelkę. Potknęłam się o jeden z kartonów zawalających środek dywanu, a on zerwał się, gotów mnie podtrzymać.

– Nie trzeba – powiedziałam, obchodząc karton dookoła, bo tarasował drogę do stołu. – Miałam to dziś wynieść do piwnicy albo na śmietnik...

– Poukładałam je tu z boku. – Ukucnęła i poprzesuwał pudła pod regał. – Ten grubas chciał ci pomóc, ale byłaś dla niego jakaś opryskliwa – uśmiechnął się na wspomnienie Wawrzyniaka.

– To straszny człowiek. Przykro mi, że miałeś z nim do czynienia.

– Potarmosiłem się z nim trochę... Rąbnął mnie dechą w plery i powalił na glebę, aż mnie zamroczyło. Chyba były w niej gwoździe – spojrzał na rękę. – Nie robiłem włamu do jego piwnicy. Chciał mnie w to wrobić!

– Wiem. To okropny człowiek – powtórzyłam. – Próbuje tu nami rządzić. Szarogęsi się, na wszystkich pisze anonimy i donosy... Nikt go tu nie lubi, nawet psy.

Samba czujnie podniosła łeb z dywanu.

– Doberman sąsiadki z trzeciego piętra regularnie załatwia się pod jego drzwiami, a on podejrzewa o to ludzi. Wie, że jest nielubiany. Wszystkie psy go obszczekują, nie wyłączając Samby. Wygląda to na psią solidarność.

Skończył układać kartony i usiadł z powrotem. Popatrzył na butelkę.

– Mógłbyś ją otworzyć? – Podałam mu korkociąg.

Gdy sięgał, na przegubie jego prawej ręki zauważyłam grubą pasek tatuażu. Zerwał papierową osłonkę szyjki butelki i w odsłonięty korek wbił kor-

kociąg. Na palcach od razu pokazała się krew. Otworzył dłoń i popatrzył na mnie bezradnie.

– Przepraszam... upačkałem ci juchą butelkę.

– To nic. Zostaw ją.

Wysłałem do łazienki po środki opatrunkowe. Gdy wróciłem, obserwował moje przygotowania spod oka. Uśmiechnął się krzywo, gdy usiadłem w fotelu obok i założyłem nogę na nogę. Przykryłem kolano czystym, złożonym ręcznikiem i spojrzałem na niego wyczekująco. Położył na nim rękę i przyglądał się, jak wacikiem przemywam mu ranę.

– Te skaleczenia są okropne... głębokie. Jeżeli gwoździe były zardzewiałe... Może przemyję to jodyną, chyba jest mocniejsza od wody utlenionej?

– Z powątpiewaniem obejrzałem etykietę drugiej buteleczki, odkręciłem ją i nasączyłem inny wacik.

– Jest trochę przeterminowana. Stoi od sterylizacji Samby. Boli?

– Jakoś to zniosę – uśmiechnął się potulnie, skrępowany naszą bliskością. – Wstyd mi, że mam takie brzydkie łapy. Nie zdążyłem wyczyścić paznokci...

– To głupstwo – przerwałem mu i sięgnęłam po nowy gazik.

Środkowy palec prawej ręki był mocno rozharantany. Brzegi rany rozeszły się na boki i przy jego najdrobniejszym poruszeniu ciekła krew.

– To kwalifikuje się do interwencji chirurga – zauważyłam.

– Zagoi się – mruknął lekceważąco i opatrzoną już ręką sięgnął do talerzyka.